Świat powieściowy.

Nr. 120 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Złamany a nieugięty.

POWIEŚĆ

przez Marję Grochowalską

(Ciąg dalszy)

Jeszcze w tem stadjum była choroba dzieci, gdy lekarz bez litości powiedział wprost ojcu, który pochylił się pod brzemieniem smutku, jakby mu lat dwadzieścia przybyło:

— I te pójdą, wszystkie pójdą! Nie ma nawet o czem mówić! Ale to dziwne, że pan i żona jesteście zdrowi, a wszystkie dzieci noszą zaród suchot w piersi!

Po tym wyroku, wydanym na życie ukochanych istot, biedny ojciec coraz więcej przesiadywał w biurze. Nie miał siły patrzyć na nich, ani na łzy nie opuszczające ócz żony, która sercem matki przeczuwała, że Julek i Felcia na wpół już tylko do niej należą.

Lola pomału objęła cały zarząd domowy, starając się matkę wyręczać we wszystkiem, chcąc choć w tem ulżyć jej ciężaru boleści.

Zaledwie zieleń wiosenna okryła pola i lasy, Felcia snem cichym zasnęła na wieki, pierwszy bukiecik pierwiosnków trzymając w rączętach. Tym razem matka nie poszła odprowadzić kochane dziecię do ostatniego mieszkania, lecz została przy Julku, który coraz miał się gorzej.

Ojciec w kilka dni potem położył się do łóżka, z którego nie powstał już więcej. Boleść głęboka wyczerpała i zmogła siły fizyczne. Pięć tygodni chorował, a lekarze Bóg wie jak nazywali tę słabość, objawiającą się dreszczami, gorączką i codzień większem osłabieniem. Ze żoną nie mówił nigdy o śmierci, mając litość nad nią; raz tylko rzekł do Loli:

— Bóg łaskaw na mnie moje dziecko, oszczędza mi boleści widoku konającego Julka. Matka biedniejsza i to jeszcze przejść musi, i Bóg wie co jeszcze! Kobieta, a silniejsza odemnie! Lolu, kochaj ją i wspieraj w ciężkiem życiu...

Lola łzy połykała, dławiła się niemi, ale zbrojna rezygnacją chrześcijańskiej dziewicy, wypełniała obowiązki swe z dziwną akuratnością, przeszła w istną regularną maszynę. Od łoża dogorywającego ojca, szła do niknącego z dniem każdym brata, który skulony we dwoje siedział w kąciku sofy, z dziecinną trwogą bojąc się położyć do łóżka, z którego wiedział, że nie powstali tamci! I ojcu i bratu niosła starania, słowa pociechy i nadziei, a nieszczęśliwej matce, która jakby w osłupieniu przesuwała się koło nich, osładzała o ile tylko mogła stan straszny.

Ojciec wreszcie skończył, z całą przytomnością umysłu żegnając żonę i dzieci, polecając wszystkich opiece Loli. Ból miotał sercami biednych kobiet, lecz coraz więcej ich ciągłej troskliwości potrzebował Julek, który ciągnął najdłużej i męczył się najwięcej.

Wśród zimy dopiero, śnieg okrywający grubą warstwą ziemię, przysypał i jego mogiłę. Męczarnie dziecka w długich ostatnich miesiącach były dla niego i dla cierpiących z nim razem tak okropnemi, że śmierć zdawała się prawie ulgą, za którą dziękować Bogu należało. Nie towarzyszyła więc rozpacz zgonowi jego — cisza nastała tylko i jakby oprzytomnienie po tylu ciosach okropnych...

Została matce jeszcze Lola, do której teraz serce jej przylgnęło nie jak do córki, ale jak do towarzyszki i przyjaciółki roztropnej i silnej, która brała na swe młode ramiona wszystko, co tylko matce zaciężyć mogło i na której sercu i rozumie śmiało się oprzeć mogła.

Została więc Lola, dwunastoletni Kazio i młodsza o lat parę od niego Milunia, do której

przywiązała się Lola z całą namiętnością serca kochać potrzebującego.

Kazio był pieszczoszkiem matki, ojca, rodzeństwa, profesorów i znajomych. Kochali go wszyscy, bo był uprzejmy, wesół, dowcipny i ładny, uczył się dobrze i pomagał w rachunkach siostrze, do której z wszystkiemi teraz odnoszno się sprawami.

Lat parę minęło i biedne mieszkanki dworku zaczęły przychodzić cokolwiek do siebie.

Młody profesor, Alojzy Tarski, mieszkający niedaleko, pojął, jakąby pomocą i osłodą być mogła towarzyszka życia z cnotami Loli i znalazł sposób wejścia w dom jej matki. Lola nie znała prawie mężczyzn, Alojzy był młody i przystojny, matka uważała stanowisko jego za dosyć wysokie, więc obie słodko marzyły o uśmiechającej się szczęśliwej przyszłości.

Po długich mile spędzanych wieczorach zimowych, nastąpiły milsze jeszcze na wiosnę przechadzki na smentarz, w których im towarzyszył młody profesor. Nigdy nie przyszło do żadnego wyznania, ale młodzi patrząc sobie nawzajem w oczy, mówili sobie daleko więcej, niżby to słownie wypowiedzieć zdołali, a matka patrząc na te ich spojrzenia, budowała na nich gmach przyszłego szczęścia, widząc już prawie swą córkę przy ołtarzu.

Inaczej jednak było zapisane w księdze przeznaczeń.

Kazio zachorował nagle niebezpiecznie, a po kilko-tygodniowej chorobie powstawszy, począł się skarzyć na ból piersi, kaszlał, nie sypiał po nocach i mówił ciągle o bliskiej śmierci, czem rozdzierał serce matce i siostrze, które unikały prawie wzroku swego, by w nim nie wyczytać strasznej pewności nieszczęścia nowego.

Alojzy bywał codziennie, nie jedną noc przesiedziawszy przy chorym, uprosiwszy, by zmęczone kobiety choćby na chwilę do snu się ułożyły. Z każdym dniem jednak był smutniejszym, a oczy jego z dziwnie rzewnem uczuciem spoczywały na Loli, która znowu pobladła i wymizerniała.

I Kazio nareszcie opuścił dworek na zawsze, przepowiedziawszy sobie dzień i godzinę śmierci, zadysponowawszy ze szczegółami pogrzeb i zaklął wszy na pamięć ojca, matkę i siostry, by po nim nie płakały, bo wszyscy tam się znowu kiedyś zobaczą.

Co się działo w dworku po tej świeżej stracie, trudno opisać. Poczciwa ciocia zaraz po pogrzebie uwiozła ze sobą Milunię, by dziecko nie patrzyło na rozpacz matki, która od zmysłów odchodziła, z całą gwałtownością zbolałego serca oddając się boleści, szemrząc i złorzecząc chwilami woli bożej.

Lola obchodziła się z nią jak z chorem dzieckiem, czerpiąc w spojrzeniu Alojzego otuchy i mocy do przetrwania i tego nieszczęścia. Niestety Alojzy wkrótce zaczął coraz rzadziej bywać, a w końcu wyprowadził się bliżej miasta i odwidzał dworek raz na dwa lub trzy tygodnie. Gdy znajomi, którzy już szeptali jakby o pewnem pobraniu się młodych ludzi, zapytywali go o przyczynę tej zmiany w postępowaniu, odrzekł z westchnieniem:

— Nie znam młodej panny, do którejbym miał tyle sympatji i którąbym tak wysoko cenił, jak pannę Lolę. Przyznaję, że nie jeden raz słodko zamarzyłem o wspólnem z nią pożyciu, dlatego też czując, jak bardzo mogłaby ona stać się dla mnie drogą, usuwam się, bo nie czuję w sobie dość rezygnacji, bym pogodzić się mógł z jej śmiercią, która zapewne czyha na nią i nie długo porwie i tę ofiarę, jak zmiotła prawie całą jej rodzinę.

Usłużni przyjaciele słówko w słówko jak mogli najprędzej zakomunikowali tę odpowiedź Loli, która przyjęła ją na pozór obojętnie, w głębi serca jednak uczuła dziwną czczość i tęsknotę, czyniąc rozbrat z nadzieją, która jej nie jedną chwilę gorzkiej boleści słodziła. Pobladła bardziej jeszcze, wychudła i stała się grobowo milcząca.

Wkrótce Alojzy przestał bywać zupełnie.

W rok potem poznała Arnolda i polubiła go bardzo, a kochając nad wszystko siostrę, usnuła plan małżeństwa dwojga młodych ludzi, którzy w jej wyobraźni koniecznie mieli się pokochać i pobrać. Nie pomyślała nawet o tem, że i jej jeszcze jakaś cząstka szczęśliwszej doli się należy i żyła tylko nadzieją szczęścia Miluni, która w istocie po kilkorazowej bytności Arnolda w Woniawie, zajęła się nim więcej, niżby o to można było posądzić czternastoletnie dziewczątko. Arnold dotychczas jednak prócz serdecznej przyjaźni, ani odrobiny nic więcej nie uczuł, i ani się nie domyślał, jakiem uczuciem napełnił to młode serduszko.

Wakacje już nadchodziły za dni kilkanaście i równie cieszono się w dworku na Żółkiewskiem, z którego się wybierano na długie sześć tygodni, jak w Woniawie, gdzie z upragnieniem oczekiwano

tak miłych i pożądanych gości. Teraz już ani nie pomyślano o tem, by Arnold mógł nie należeć do tej wycieczki, uważano go jako swego i były chwile, w których on zapominał nawet o swem zupełnem sieroctwie.

Jednego dnia, gdy wrócił ze szkoły, spotkał w progu szybko wybiegającą służącę, która zobaczywszy go, zawołała głośno:

— Dobrze, że panicz wraca! Ja biegnę po doktora! Pannie coś się stało!

Arnold rzucił książki w sieniach, a sam wpadł do pokojów gospodyni.

Matka stała z załamanemi dłońmi koło sofy, na której zemdlona leżała Lola, blada jak widmo

Zobaczywszy Arnolda biedna kobieta rozpłakała się głośno.

— Co się stało pannie Loli?! — zapytał z niepokojem młodzieniec.

Za całą odpowiedź matka podała mu list otwarty.

„Przyjeżdżajcie prędko! — pisała ciotka. — Milunia jakaś słaba, kaszle, miewa dreszcze i gorączkę, chodzi ale osłabiona. Dwa razy był lekarz, ale to mnie nie uspokaja, choć ona śmieje się ze mnie... Biedne dziecko schudło i zmizerniało. Cały dzień mówi tylko o waszym przyjeździe, łącząc z nim zawsze pana Arnolda. Nie odwlekajcie — proszę was — przyjeżdżajcie jak najprędzej!“

Lola wkrótce przyszła do siebie, zdawało się jednak, iż rozpłynie się we łzach. Na biedną matkę przyszła teraz kolej perswadowania córce, do czego dołączył się i Arnold.

— O! ja już wiem, ja wiem co z tego wyniknie! — powtarzała wśród łkań gwałtownych. — I tę jedyną pociechę Bóg mi pozazdrościł, i tę mi grób wydrze! Ach! kiedyż już dla mnie on się otworzy! — i zdawało się, iż serce jej pęknie w tym bolu i żalu.

Tego samego dnia matka z córką wyjechały, spiesząc do ukochanej chorej, która wybiegła na ich spotkanie z powypiekanemi rumieńcami i gorączkowo błyszczącemi oczyma, nim jednak miała czas zarzucić wychudłe rączęta na szyję Loli, silny kaszel rozdarł jej piersi i bladość powlekła lica dziewczynki. Po chwili jednak cisnąc piersi ręką, wśród łez i śmiechu zawołała:

— To nic, to nic! Przed kilku tygodni mi nabawiłam się kataru i kaszlu, ale mi już o wiele lepiej! Zażywam jakieś szkaradne proszki, bo ta niedobra ciocia zaraz lekarza sprowadziła. Ach! jak to dobrze, żeście już przyjechały moje najmilsze! A pan Arnold nie przyjechał? nie przyjedzie? dla czego?

— Przyjedzie aniołku! — odrzekła Lola — ale dopiero za tydzień, bo jeszcze trwają wykłady szkolne. Po skończeniu kursu natychmiast tu się wybierze.

Czwartego jednak dnia po odjeździe kobiet, odebrał Arnold kartę od Loli:

„Nie przyjeżdżaj już pan tutaj — pisała z pospiechem — jesteśmy na wyjezdnem. Zabieramy Milunię, której jest gorzej i potrzebuje starań lekarzy. Oczekuj pan nas w sobotę wieczór na dworcu.“

Arnoldowi serce ścisnęło się bolem, na widok tak niedawno zdrowiem i szczęściem kwitnącej dziewczynki, dziś zwiędłej, wychudłej i smutnej. Siliła się jeszcze na dawną wesołość, ale najczęściej kaszel przerywał śmiech głośny i nienaturalny, a oddech gorączkowy nie pozwalał kończyć rozpoczętej rozmowy. Leżała osłabiona prawie ciągle na sofie, tworząc co raz to nowe projekta zabaw lub podróży, powtarzając codziennie, że jej lepiej i gniewając się na lekarzy, że zwykłego kaszlu wyleczyć nie umieją.

Smutny to był widok patrzyć na ten kwiatek nie rozkwitły jeszcze, a usychający już pod żądłem zabójczej choroby, rojący jednak najpiękniejsze nadzieje w dalekiej przyszłości, która niestety dla niej już na dnie tylko liczyć się mogła.

Ani matka, ani Lola, na chwilę się nawet nie łudziły, lecz sprowadzały lekarzy, dnie i noce czuwały przy chorej, wymyślały rozmaite rozrywki, skupowały wstążki i inne drobnostki których pragnęła, odgadywały i zaspakajały wszelakie życzenia i zachcianki, ale nadzieja powrotu jej zdrowia nie rozweselała ich umysłu i serca. Nadto już miały bolesnych doświadczeń, by się jeszcze łudzić mogły!

Milunia niecierpliwie czekała zawsze na powrót Arnolda ze szkoły, a gdy nadszedł wzywała go do siebie i męczyła pierś zbolałą urywaną rozmową.

— Czuję się już zupełnie dobrze — mówiła do niego — nawet daleko silniejszą! Chodźmy na przechadzkę — zobaczysz pan, jak mi będzie do twarzy w mej nowej różowej sukni! Nie próbowałam jej nawet — ubiorę się jutro. Patrz pan

jakie śliczne wstążki kupiła mi ta dobra Lola.... ile łokci tych wstążek Lolu?.. Jak panu włosy zciemniały — a jakie miękkie, jak jedwab. Utnij mi pan trochę włosów — zrobię sobie z nich pierścionek. Ciocia nauczyła mię robić z włosów pierścionki... Na drugi tydzień chcę być koniecznie w teatrze — weźmie mama lożę na drugiem piątrze — prawda? I pan pójdziesz z nami — musisz pójść Arnoldzie! Lolu, moja Lolu, ja tak dawno pragnę być w Wieliczce — pojedziemy na wiosnę, na Zielone święta?...

W ten sposób mówiła prawie zawsze, prędko, z gorączkową niecierpliwością, nie kończąc jednej rozmowy, a zaczynając drugą i trzymając w swych spoconych dłoniach rękę Arnolda lub Loli. Do tej teraz ze wszystkiem się odnosiła, matka bowiem zaczęła nagle tracić pamięć tak dalece, że często mówiąc do dwojga żyjących dzieci nazywała je imionami umarłych, wiecznie czegoś szukała i gubiła wszystko, a usiadłszy przy Miluni opowiadała jej, jak jej najmłodsza córka na wsi ślicznie wygląda i jak jej zdrowiem się cieszy. Nie było to obłąkanie, ale jakieś rozstrojenie umysłowe i roznerwowanie, które owładnęły biedną kobietę po stracie ostatniej nadziei, która ją z życiem wiązała. Godzinami składała milcząc rzeczy w szafach lub komodzie, czasami klękała do modlitwy, i tak klęcząc głośno wywoływała wspomnienia szczęśliwszych czasów.

Biedna Lola zasięgała rady lekarzy, którzy kiwając głowami zapisywali rozmaite apteczne środki, nie mogąc jednak trafić na lekarstwo, któreby uleczyło skołatany umysł i serce biednej matki.

Milunia miała się coraz gorzej.

Jednego zimnego grudniowego poranku, rzekła do Loli po nocy bezsennej głosem urywanym:

— Tak mi dobrze moja Lolu, tak mi jakoś miło i lekko! Chciałabym Bogu podziękować za zdrowie, które widocznie mi powraca. Kaszel już nawet przestaje mię męczyć, odrobinę tylko sił więcej, a będę zupełnie zdrowa... Jak myślisz, możebym mogła pojechać do kościoła, wyspowiadać się i przyjęciem komunji wdzięczność mu okazać?

Loli zimny pot wystąpił na czoło. Pojęła, że biedne dziecko bezwiednie przygotowuje się na śmierć. Wywołała jednak uśmiech na blade usta, i pochwalając myśl siostry prosiła ją, by się wyspowiadała w domu, twierdząc, że zimne powietrze zaszkodzić by jej mogło. Obiecywała jej również, że gdy tylko więcej sił nabierze, pojadą razem.

Milunia chciała oponować, wstała nawet i zaczęła się ubierać, ale wątłe siły odmówiły posługi. Przywołała więc Arnolda, prosząc, by poszedł po znajomego księdza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

(Ciąg dalszy).

XII.

Dni kilka minęło. Armand więcej nie wspominał przyjacielowi o troskach, które go tak były do głębi przejęły. Mimo iż milczał, Jan zgadywał jego myśli tajemne. Widział go jak przewracał kartki „Dziennika sądowego“, jak szperał w starych, zżółkłych papierach, które przyniósł pod płaszczem ranka pewnego, odwidziwszy powtórnie dawnego pisarza pana Loiseau. Widocznem było, iż Armand zajmuje się stale ową sprawą nieszczęsną, że stara się wszelkiemi siłami wyrobić sobie zdanie w tej mierze, stara się o wyjaśnienie prawdy, kryjącej się pod jakąś dziwnie tajemniczą zasłoną.

Raz wreszcie podczas objadu, zapowiedział matce i Janowi, iż wyjeżdża na dni kilka.

— Ślub mój na końcu tego miesiąca — rzucił od niechcenia. — Muszę być koniecznie w Paryżu, aby załatwić przedtem niektóre sprawunki.

Skoro znaleźli się sami, wyjawił przed Janem cel właściwy tej podróży.

— Jadę do Evreux — rzekł mu gorączkowo — muszę odszukać nieszczęśliwego Torquenié, i wypytać go raz jeszcze najdokładniej. Im więcej zastanawiam się nad tą całą historją, tem mi się wydaje ciemniejszą i bardziej zagmatwaną. Nie mogę żyć dłużej w takiej dręczącej niepewności!... A gdyby jednak ten człowiek był niewinnym?...

Pierwszy raz wyrwało mu się podobne powątpiewanie. Przewrót olbrzymi nastąpił widocznie w jego umyśle przez tych dni kilka.

Przybywszy do Evreux, zaczął szukać pilnie Jakóba Torquenié. Było to jednak zadaniem nie lada! Udał się do policji. Tu mu powiedziano, że nigdzie zajęcia dostać nie mógł, bo chociaż spełniał gorliwie robotę najcięższą, skoro właściciel domu, kupiec lub fabrykant, dowiadywali się kim był właściwie, odprawiali go natychmiast, ze wstrętem niemal na ulicę wypychając. Komisarz policji zatem, aby mu dać jaki taki zarobek, kupił katarynkę za własne pieniądze; skoro jednak pokazał się z nią w mieście, katarynkarze hurmem oblegli policję, ze skargą, iż galernik śmie im wydzierać i tak nędzny chleba kawałek! Zewsząd go spędzali.

Już nawet paupry go znają, lżą, błotem obrzucają, i przejść nie dadzą spokojnie przez ulicę!

— Nie powinnibyśmy przyznawać się do czegoś podobnego — kończył pan komisarz wzruszając litościwie ramionami — bo właściwie kazano nam czuwać nad tym człowiekiem bezustannie, ale istotnie, od dwóch dni nie wiemy gdzie się nam podział. Może poszedł utopić się z rozpaczy, gdyż jak mi mówiono, ginął z głodu i nędzy wszelakiej... Mała strata! — machnął ręką pogardliwie. — Tacy ludzie, to istna plaga dla społeczeństwa!

Armand opuścił policję z sercem dziwnie ścieśnionem i zaniepokojonem. Odepchnęli go zatem wszyscy, wystawiając nieszczęsnego na śmierć głodową, lub targnięcie się na życie ręką własną! Cóż miał jednak czynić, skoro policja nic o Jakóbie nie wiedziała? Którędy obrócić się w mieście zupełnie sobie nieznanem? Smutny i zgorszony ludzką niegodziwością, wracał wieczorem napowrót na dworzec kolei, aby pierwszym nocnym pociągiem wrócić do Rennes.

Nie był dotąd pewnym niewinności tego człowieka, a jednak budził się w nim głos sumienia, iż mogąc rozwikłać poplątane nici tej intrygi tak dramatycznej i tajemniczej, wypuścił z rąk samochcąc kłębek, który mu podawał nieszczęśliwy Torquenié.

Wieczór był ciepły i pogodny, szedł więc pieszo, a przed nim niósł stróż hotelu, w którym był wysiadł rano, niewielkie jego pakunki.

Mijali mur ogrodu obszernego, gdy z za węgła wysunęła się jakaś postać w łachmanach i usłyszeli głos słaby:

— Na rany Boskie panie! obdarz mnie czem... Od trzech dni chleba kawałka nie miałem w ustach!...

Stróż rzeczy niosący odwrócił się szybko, a choć w tem miejscu był jeden, jedyny rewerber i to mocno zakopcony, poznał jednak po głosie żebrzącego.

— Niech mu pan nic nie daje! — mruknął gniewnie. — Wczoraj był u nas „Pod złotym Jeleniem", ale oberzysta kazał go nam za drzwi wyrzucić, a drugi raz obiecał, że łotra psami wyszczuje! Ten łajdak, wisielec, z galer powraca!

Żebrał w tył się cofnął, aby czemprędzej ukryć się napowrót ze swoim wstydem w kąt ciemny, z którego był się wysunął, Armand jednak szybko ku niemu podstąpił:

— Czy wracasz istotnie z galer? — zapytał głosem drżącym.

Nie było odpowiedzi. Po chwili milczenia odezwał się znowu Armand cicho, lecz tonem stanowczym:

— Powiedz mi, jeżeli ci Bóg miły! czy nie nazywasz się Jakób Torquenié?!

— Znasz mnie pan?! — krzyknął żebrak, zdziwiony i przerażony.

— Znam... i szukam. Chodź za mną!

— Gdzież mam iść?

— Do miasta, mam z tobą do pomówienia.

— Niestety panie! nie zajdę tak daleko.

— Widzę jakąś oberżę o kilka kroków... Tam wejdziemy tymczasem.

Armand poszedł przodem. Za nim wlókł się zawezwany krokiem chwiejnym, niepewnym, na kiju się spierając. Zdawał się omdlewającym!

Oberża, którą Armand spostrzegł, była szynkiem po prostu, w którym raczyli się gorzałką, bądź robotnicy kolejowi, bądź wieśniacy na pociąg czekający. Izba była niska, brudna i zadymiona. Kilku pijaków chrapało po kątach, wyglądając wstrętnie i obrzydle. Jakieś stare babsko siedziało za rodzajem szynkwasu, kiwającego się na trzech nogach, robiąc na drutach olbrzymią pończochę z wełny brudno-szarej.

Armand zapłacił posługaczowi, odebrał od niego pakunki, nie zdając się uważać jego miny głupiej niesłychanie, oczu wybałuszonych i gęby rozdziawionej, gdy spozierał to na niego, to na żebraka w łachmanach. Po chłopca odejściu, Armand zażądał od karczmarki pokoju osobnego. Wstała niechętnie, mrucząc pod nosem pacierz niedźwiedzi, zapaliła nędzną łojówkę i wprowadziła Armanda i galernika przez wązką sień na drugą stronę do ciupki, a raczej nory czarnej, okropnej, która u niej nazywała się szumnie „pokojem gościnnym". Stał tu w jednym kącie tapczan, a na nim trochę słomy przegniłej. Ławka pod ścianą, na dwóch klockach do podłogi mocno przybita, przed nią stół z dwóch desek sklecony, również na klocu dębowym oparty i kilka zydlów od siekiery ociesanych, stanowiły całe wspaniałe pokoju umeblowanie. Wyszła i za chwilę przyniosła wina butelkę i dwa kieliszki nadtłuczone.

Armand skinął na gościa swojego, aby usiadł naprzeciw.

— Nie poznajesz mnie? — spytał.

Torquenié podniósł głowę. Dreszcz przeszedł po ciele Armandowi, na widok tej zmiany straszliwej, jaka nastąpiła w tym człowieku w niespełna dwa tygodnie. Oczy krwią nabiegły, twarz była trupio żółta i jakby mchem szarawym porośnięta, warga dolna zwisała jak u paralityka, wzrok był błędny, świecący blaskiem gorączkowym.

Wytrzeszczył oczy na Armanda, ale tak, jakby go wcale nie widział, a opierając dłonie na żołądku, który gdzieś w głąb się zapadł, jęknął boleśnie:

— Jeść!... jeść chcę!..

Armand wyszedł i kazał przynieść chleba bochenek, obstalowawszy na później rynkę jajecznicy z szynką. Biedak rzucił się na chleb jak wilk zgłodniały, napychając do ust kawałki obiema dłońmi dla większego pospiechu. Wypił również łapczywie, nalaną przez Armanda szklankę wina. Zaspokoiwszy cokolwiek głód i pragnienie nieszczęśliwego, Armand powtórzył pytanie:

— Czy mnie poznajesz?

Torquenié potrząsł głową przecząco.

— Byłeś przecie u mnie w domu w Rennes, przed dwoma tygodniami — przypominał mu Armand. —

Żądałeś abym ci dopomógł do odkrycia fatalnej pomyłki, której, według twojego twierdzenia, dopuściła się sprawiedliwość w twojej sprawie, i...

Nie dał mu dokończyć. Cofnął się wraz z zydlem i spojrzał koso i gniewnie na Armanda.

— Ah! Jesteś pan synem mojego sędziego! — mruknął głucho.

— Posłuchaj mnie Torquenié! — Armand znowu posunął się ku niemu. — Chcę o wszystkiem zapomnieć co zaszło między nami... owo oskarżenie... obelgi miotane na kogoś, którego pamięć jest mi drogą i świętą!... Jesteś nadto nieszczęśliwym, a takim trzeba wiele przebaczyć!... Gdybyś był winnym nawet, odpokutowałeś straszliwie zbrodnię podwójną...

— Nie popełniłem jej! Jestem niewinny! — krzyknął Jakób tonem prawdy serce rozdzierającym, i z ową dziką energją, która brzmiała zawsze w jego zapewnieniach, iż wyrok wydanym był niesłusznie.

— Trzeba tego dowieść...

— Dowiodę! — uderzył w stół pięścią. — Od kiedy jestem tutaj wystawiony na wszelkie walki, na głód i poniewierkę najstraszniejszą, na obelgi i prześladowanie, nieraz już miałem ochotę skończyć z tem nędznem życiem. Zawsze mnie jednak myśl wstrzymywała: Wykazać moją niewinność, podnieść wreszcie głowę, wrócić do praw człowieka!... Oh! co ja tu wycierpiał! przez jakie piekło przeszedłem!...

Schwycił się za głowę palcami skurczonemi i tak chwilę pozostał nieruchomy.

— Chciałem pracować w pocie czoła najuczciwiej — zaczął na nowo z goryczą — aby zarobić z czasem na zapłacenie adwokata. Zewsząd mnie jak psa wypędzano! Lżono, hańbiono bez powodu!... Od trzech dni chleba w ustach nie miałem... Jak dzikie zwierzę krążę po nocy, bo w dzień boję się zbliżyć do ludzi, i szukam resztek jadła na śmieciskach!... Boże mój! co począć! co począć! jak dowieść, że sąd pomylił się tak straszliwie!... Gdyś mnie pan wypędził z domu tak niełitościwie, udałem się do innego adwokata. Ten najprzód spytał mnie o pieniądze!... A ja miałem dziesięć sous przy duszy! Ah! gdyby żył jeszcze pan Rousseau! Ten mnie znał!... Ten wiedział, żem padł ofiarą jakiejś szatańskiej intrygi!... ten byłby się dla mnie i dalej poświęcał!... Było to serce wielkie i szlachetne!...

— Myślisz więc że umarł?

— Niezawodnie! Przez trzy lata do mnie pisywał. Podtrzymywał słabnącą nadzieję, zapewniał, że jest na tropie, że myśli ciągle o mnie i musi wykazać światu moją niewinność. Naraz urwała się nasza korespondencja, na kilka listów nie odebrałem odpowiedzi, a gdym zapytał o pana Rousseau, pewnego dobrego znajomego, odpisał mi, że w Rennes niczego o nim nie mógł się dowiedzieć. Wtedy dopiero noc czarna w koło mnie zapadła. Zrozumiałem, żem sam został na świecie... uczułem się nieszczęśliwszym niż kiedykolwiek!...

Torquenié westchnął ciężko i zapadł w poprzednią nieruchomość. Armand zmierzył przenikliwie wzrokiem, odetchnął, potarł czoło, jakby zbierał całą odwagę na krok stanowczy, z którym myśli wystąpić.

— Jeżeli istotnie jesteś niewinny — przemówił zwolna głosem urywanym, nachylając się ku Jakóbowi — będę takim dla ciebie, jakim mógłby być adwokat z najwyższem poświęceniem. Nie pożałuję niczego, byle uzyskać dla ciebie sprawiedliwość, przysięgam uroczyście! Użyję mojej wymowy, talentu, wpływów, jakie mieć tylko mogę, poruszę wszelkie sprężyny aby cię wyrwać z nędzy, aby zdjąć z ciebie straszną klątwę zbrodni niepopełnionej! Ale od dziś zacząwszy, ja sam będę twoim sędzią, ja śledztwo na nowo rozpocznę, wysłucham świadków, którzy dotąd żyją, będę szukał klucza do tej zagadki straszliwej i wtedy dopiero zażądam aby ci cześć wrócono, jeżeli powie mi własne przekonanie, żeś był niewinnie zasądzony.

W miarę jak Armand mówił, twarz nieszczęśliwego galernika wychudła i zapadła, zdawała się wracać do życia. Przymknął oczy, jakby go nagła jasność olśniła.

— Ależ skoro pan to wszystko chcesz dla mnie uczynić — zawołał w nadmiarze radości — toć jestem uratowany! Ah! panie! pomyśl ilem wycierpiał! ilem zniósł od mojego prześladowcy i przebacz, żem się uniósł mimowolnie, żem pamięć jego przeklął w twojej obecności!... Jesteś dobrym, miłosiernym... czuję to instynktowo!... Dałeś mi jeść, gdym ginął z głodu; rozświecasz w sercu zrozpaczonem promyk nadziei!... Oh! chcę żyć teraz, chcę żyć koniecznie!... Powiedz pan co mam zrobić? Pytaj o co chcesz! Pamiętam wszystko, jakby to wczoraj było!... Wyobraź pan sobie tylko, przez lat dwadzieścia o niczem innem nie myślałem; mogły zatem szczegóły najdrobniejsze, wyryć się głoskami niestartemi w mojem sercu i pamięci!

— Jesteś za słaby, abym chwilowo przedłużał naszą rozmowę; ja sam zanim cię badać zacznę, potrzebuję czasu do namysłu i muszę cały tok sprawy mieć świeżo w pamięci. Zajmę się, aby można jak najprędzej sprowadzić cię do Rennes. Tym sposobem będę cię miał zawsze pod ręką, co mi rzecz całą wielce ułatwi. Przyjm tymczasem te pieniądze, na opędzenie potrzeb najgwałtowniejszych. Najmij sobie pokoik gdzieś za miastem, i nie omieszkaj donieść mi o tem. Oto moja karta wizytowa. Skoro otrzymam pozwolenie, sprowadzę cię do Rennes. Nie dziękuj — wstrzymał go szybkim ruchem, powstawszy — jeżeliś niewinny, spełnię tylko świętą powinność. Gdybyś jednak był winnym i kłamał, pomszczę godnie pamięć ojca mojego, przez ciebie zbezczeszczoną, oddając ci za kamień, chlebem!

Położył przed nim woreczek z pieniądzmi i wyszedł, zostawiając biednego Torquenié skamieniałego, olśnionego i osłupiałego, tem wszystkiem co widział i co słyszał.

XIII.

Armand skoro do domu wrócił, udał się do jednego z radców w Rennes, przyjaciela ojca swego, pytając o formalności potrzebne, aby sprowadzić do Rennes pod dozór policji, pewnego biedaka, dawnego galernika, którym Armand chce się zająć.

— Jesteś więc pan tego zdania, iż nie dość jeszcze łotrów w naszem mieście? — przerwał mu radca niecierpliwie.

— Ręczę za tego człowieka, że będzie się sprawował jak najlepiej!

— Tak wiele panu na tem zależy?

— Nadzwyczajnie, kochany panie Dubourg! Nie ustąpię, póki tego nie uzyskam.

Radca wziął z biurka jakąś księgę do zapisków.

— Jak się ten człowiek nazywa?

— Jakób Torquenié.

Radca szukał po głowie.

— Ah! — przypomniał sobie nagle — to ostatnia sprawa, którą prowadził mój przyjaciel d'Arçay... a poprowadził ręką mistrza! Rzecz dziwna, iż syn interesuje się człowiekiem, którego ojciec jako zbrodniarza osądził!

— Torquenié był leśniczym hrabiego de Trameillan, a wiadomo panu radcy, iż zaślubiam wkrótce córkę hrabiego.

Radca raczył przyjąć tłumaczenie to do wiadomości.

— W końcu — machnął ręką lekceważąco — ten człowiek nie może być niebezpiecznym. Zbrodniarz z miłości! Rodzaj to nader śmieszny ale i łagodny jednocześnie. Oby nam innych łotrów tylko na kark nie przysyłano! Ale rząd obecny jest równie jak pan, nadto wybaczliwym!

Nie był ciekawy dowiedzieć się, o kim myśli pan radca, pomawiając rząd o zbytnią pobłażliwość. Kilku słowami podziękowawszy za pomoc obiecaną, był już na wychodnem, gdy coś sobie przypomniawszy, od progu zawrócił:

— Ale, ale, panie radco, nie mógł byś mi powiedzieć, co się stało z obrońcą Jakóba Torquenié? Zdajesz się pan pamiętać doskonale wszystkie szczegóły tej sprawy.

— Jakto? pytasz pan o adwokata Rousseau? — radca podniósł szybko głowę. — Czy nie myślisz przypadkiem interesować się i tem indiwiduum? — dodał pan Dubourg cały zaperzony, mierząc Armanda wzrokiem gniewnym.

— Słyszałem, że już nie żyje...

— On!... Djabeł przecież jest nieśmiertelnym! — zawołał radca z oburzeniem. — Nie, nie! Żyje to miłe ziółko!... Mogę nawet zapewnić serca tkliwe, które jak pan interesują się kryminalistami! że rząd raczył nam powrócić ten skarb drogocenny!

Armand ze swojej strony, wypatrzył się na radcę z tak widocznem zdziwieniem, iż tenże uznał za stosowne wytłumaczyć mu mimowolne uniesienie.

— Rousseau był czystej krwi Demagogiem! człowiekiem wielce niebezpiecznym dla całego społeczeństwa! Udało nam się przed wielu laty wysłać go do Cayenny... ale cóż pan chcesz! Ojcowski rząd republiki, nie ma nic lepszego do roboty, jak zapełniać Francję socjalistami, którzy tylko przemyśliwują, jakby wywrócić odwieczny porządek świata do góry nogami! Jeżeli pan życzysz sobie oddać wizytę temu łotrowi — uśmiechnął się szydersko — mieszka w domu dawnego naszego pisarza, Loiseau, od uliczki Canette.

XIV.

Za chwilę później ta sama stara służąca pana Loiseau, otwierała Armandowi drzwi prowadzące na ciemny korytarz. Świegot kanarków ogłuszający, przyjął go na samym wstępie.

— Czy w tym domu mieszka pan Rousseau? — spytał tym razem, patrzącej nań ciekawie staruszki.

— Trzecie piętro na lewo — zbyła go krótko.

Wdrapał się po schodach niewygodnych i trzęsących od starości. Oknem w dachu wpadał promień światła, gdy dwa pierwsze piętra tonęły w pomroku. Zapukał do drzwi niskich i wąskich.

Zrazu nikt nie otwierał. Na ponowne i coraz silniejsze pukanie, uchylono wreszcie drzwi ostrożnie i bojaźliwie.

Starzec przygarbiony, w szlafroku spłowiałym, wytartym, który odznaczał skąpemi fałdami okropne ciała wyschnięcie, trzymał jedną rękę na klamce, a w drugiej miał duże szczypce, jakich się używa do poprawiania i zgartywania węgli na kominku.

— Pan Rousseau? — skłonił się Armand uprzejmie.

— Tak... to ja... — odparł starzec wahająco, głosem cichym bez dźwięku.

A gdy tak stał we drzwiach nieruchomy, nie wpuszczając wcale nieznajomego, którego mierzył wzrokiem ponurym i podejrzliwym, Armand przemówił ze zwykłą sobie otwartością:

— Racz mnie pan przyjąć i wysłuchać. Idzie tu o spełnienie uczynku dobrego i miłosiernego.

Starzec usunął się cokolwiek, puszczając przed sobą Armanda, za którym natychmiast drzwi zamknął starannie. Przeszli przez wązki i ciemny przedpokoik, dążąc do trochę obszerniejszej i lepiej oświetlonej, ale nadzwyczaj nędznej izdebki. Umeblowanie było więcej niż skromne, podłoga cegłą po prostu wyłożona, na półkach zbitych z desek najprostszych i na dwóch stolikach kulawych, leżało mnóstwo książek i fascykułów pożółkłych i zapylonych. Fotel stary, odarty, stał przed kominkiem. Rzucił się na niego pan Rousseau, poruszył szczypczykami ogień na kominie i zaczął grzać nad płomieniem ręce drżące i skostniałe.

Armand uwolnił krzesło niegdyś wyplatane a dziś z wielką dziurą na środku, od papierów na niem umieszczonych i usiadł naprzeciw. Nie był pewny czy śni, czy też widzi na jawie! Oczom własnym nie wierzył. Czyżby istotnie starzec przygarbiony, cierpiący, był

tym samym człowiekiem dumnym, pełnym zapału, o którego talencie tyle mu nagadano, wymowę jego ognistą pod niebiosa wynosząc? Włos szpakowaty spadał w nieładzie na czoło wypukłe wprawdzie i szerokie, genjusz znamionujące, ale bruzdami głębokiemi poorane. Oczy były mdłe i bez blasku, usta bez wyrazu, ścięte kurczowo. Od czasu do czasu dreszcz nerwowy ciałem starca wstrząsał.

— Panie — Armand przemówił, ochłonąwszy co kolwiek z pierwszego wrażenia — znajdziesz może, iż prośba moja jest za śmiałą i zbyt niedyskretną.

Po chwili milczenia, widząc, że gospodarz domu grzeje się dalej nad płomieniem, jakby słów jego wcale nie słyszał, dodał głośniej:

— Byłeś niegdyś tutaj adwokatem, a jednym z pierwszych, których pan broniłeś zawzięcie, był niejaki Jakób Torquenié. Mimo jednak pańskiej świetnej pod każdym względem obrony, biedak ten poszedł na galery.

Starzec drgnął usłyszawszy to nazwisko, przesunął ręką po czole i spytał tonem głuchym:

— Tak... przypominam sobie... Dla czego pytasz mnie pan o tego człowieka?

Armandowi serce się ścisnęło. Starzec wydał mu się tak samo osłabionym umysłowo, jak zgrzybiałym fizycznie. Słowa wymawiał z trudnością, bełkocąc, i jąkaniem chorobliwem takowe przerywając.

— Ten człowiek opuścił galery po latach dwudziestu. Utrzymuje jednak, iż był niewinnie osądzony.

— I prawdę mówi! Sprawiedliwość popełniła w tym przypadku jedną z owych infamji, które jej się często przytrafiają! — wzruszył starzec pogardliwie ramionami, a źrenice na pół zamarłe dawnym ogniem błysnęły.

Chociaż dotknięty do żywego, słowami rzuconemi brutalnie w twarz całemu sądownictwu, Armand połknął stoicznie gorzką pigułkę.

— Chciałby rehabilitować się w opinji, i wytoczyć skargę przeciw wyrokowi niesprawiedliwemu.

— Bardzo słusznie! Ma wszelkie prawo do tego!

Uniesienie starca tem jaskrawiej nieszczęsne kalectwo odsłoniło. Silił się aby wyrażać się gładko, a usta niegdyś tak wymowne, wykrzywiały się tylko przeraźliwie w kurczu konwulsyjnym.

— Tak jest, tak!... — bełkotał niezrozumiale. — Muszą temu nieszczęśliwemu wrócić przed śmiercią przynajmniej cześć utraconą!... Ah! gdybym ja tak mógł!... Gdyby mnie nie byli zabili na duszy i na ciele!...

Machnął ręką rozpaczliwie i upadł napowrót na fotel, z którego był się podniósł, zgalwanizowany na krótką chwilę.

— Ten człowiek mnie sobie wybrał jako obrońcę prawnego — Armand mówił dalej. — Podjąłem się jego sprawy, ale tylko w takim razie, jeżeli w własnem sumieniu uznam go niewinnym.

— Słusznie młodzieńcze! — starzec wyprostował się cokolwiek, i wlepił w niego wzrok przenikliwy. — Adwokat powinien tylko sprawy czyste przyjmować.

— Pomyślałem, iż pan mógłbyś raczej niż ktokolwiek inny, udzielić mi pod tym względem rad i wskazówek...

— Lepiej niż to wszystko! — starzec wpadł mu w słowo impetycznie. — Dostarczę panu niezbitych dowodów!

— Muszę przedewszystkiem wyznać panu kim jestem — Armand podniósł z dumą głowę. — Nazywam się d'Arçay. Ojciec mój prowadził śledztwo w sprawie Jakóba Torquenié.

— Powziąłeś myśl uczciwą, mój młody panie — starzec skinął potakująco. — Spełnisz tylko świętą powinność... Ojciec pański męczył okropnie tego biedaka! był główną przyczyną, że Jakóba winnym uznali.... Sędziemu swojemu zawdzięcza, że lat dwadzieścia na galerach przejęczał! Nie rozumiałem zrazu, dla czego pan d'Arçay tak się był zawziął przeciw temu nieszczęśliwemu... Wyznaję, że potępiałem go jako tyrana okrutnego, bez krzty uczuć szlachetniejszych, ludzkich przynajmniej w duszy zakamieniałej... Postępowanie sędziego, uważałem za hańbę dla całego trybunału... Później wszystko mi się wyjaśniło... We dwa lata gremium lekarzy najbieglejszych, uznało szaleństwo ojca pańskiego za nieuleczalne... I wtedy już, gdy owo śledztwo nieszczęsne prowadził, umysł pana d'Arçay nie był zupełnie zdrowym... Torquenié padł ofiarą warjata... i łotra! zbrodniarza! któremu miał służyć za tarczę!

Dłuższa przemowa, resztę sił starca wyczerpała. Umilkł, a głowa na piersi opadła mu bezwładnie. Armand również nie mógł słowa wydobyć z piersi ścieśnionej. Sam był spiorunowany tem co usłyszał. Starzec podawał jako pewność niewzruszoną, co dotąd w jego umyśle było tylko bolesnem przypuszczeniem, hypotezą, w którą nie chciał uwierzyć. Twierdził bez wahania, iż pan d'Arçay badał obwinionego z zaciekłością fiksata! bezwiednie, jak warjat, którym już był wtedy!

Odzyskawszy krew zimniejszą, Armand przemówił uroczyście, głosem lekko drżącym:

— Jeżeli posiadasz pan istotnie dowody niezbite niewinności tego człowieka, przyrzekam święcie bronić go z całą gorliwością i zapałem, z jakim pan go niegdyś broniłeś, chociaż nie posiadam niestety pańskiego talentu i pańskiej wymowy porywającej.

— Przyjdź pan do mnie pojutrze, czy zgoda? Muszę papiery trochę uporządkować po tak długiej nieobecności! — starzec z gorzkim uśmiechem wskazał ręką na półki zapylone.

Armand go pożegnał, obiecawszy stawić się na godzinę oznaczoną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Do pani Villemur w Paryżu.
Planche-Mibray 186...

Droga przyjaciółko.

Pisałam do ciebie w dniu mego odjazdu z Paryża, opowiadając zarazem dziwne wypadki, zaszłe dzień przedtem, i przestrach okropny, jakiego doznałam.

Wiesz jednak zaledwie połowę. Zdaje się, że straszna tajemnica mego urodzenia ścigać mię będzie do grobu.

Bawiłam tu zaledwie od dni kilku, zaczęłam się uspokajać i zapominać, gdy pewnego poranka, jakiś starzec padł osłabiony u bramy pałacu de Planche Mibray.

Starzec ten, którym się zajęto z mego rozkazu, odzyskał wkrótce przytomność.

Znalazłam się z nim sam na sam, i wyobraź sobie, ten człowiek nazwał mię swą córką!

Był to galernik nazwiskiem Fanfreluche, który uciekł z galer i szedł miesiąc cały, by uściskać tę, którą miał za swą córkę! Ten człowiek był zabójcą mojej matki!

Byłam nader oburzona i odepchnęłam go z pogardą, powiedziawszy mu przekonywająco, że nie jestem jego córką.

Wtedy role się zmieniły...

Starzec, groźny przed chwilą, upadł mi do nóg, uwierzył mym słowom i błagał pokornie przebaczenia.

Pojmujesz moja droga, kochana przyjaciółko, że człowiek zbryzgany krwią mego ojca i mej matki, nie mógł wzbudzić we mnie uczucia, choćby tylko litości!

Ale jestem chrześcijanką i przebaczyłam. Gdyby był został tutaj ten biedny starzec, byłabym miała staranie o nim, byłabym go ukryła, bo żandarmerja pewnie go ściga; ale jednej nocy opuścił cichaczem pawilon w głębi ogrodu, w którym go umieściłam, i nikt go nie widział jak wyszedł. Jednakże, ponieważ deszcz padał zeszłej nocy, ogrodnik odnalazł ślad jego kroków w winnicy sąsiedniej.

Ślad ten nawet ciągnął się dość daleko. Kierował się ku szczytowi pagórka, z którego widać zamek. Ale tam już dalej ziemia kamienista i ślady znikły zupełnie.

Przez dwa dni byłam przekonana, że ten biedny człowiek powrócił na galery. Ale teraz myśl inna opanowała mój umysł.

Dziwnem to jest i śmiesznem, a może wynikiem mojej chorej wyobraźni.

Czy przypominasz sobie, droga moja, tego starego pustelnika z lasu de Frettoye, którego zdybywałyśmy nieraz podczas przyjażdżek porannych, gdy byłaś tutaj, i który od czasu do czasu przychodził prosić o jałmużnę do zamku? Pamiętasz, nieprawdaż?

Otóż ten biedny pustelnik umarł. Pochowano go przed pięcioma czy sześcioma dniami.

Ale domek pustelniczy, który prawdę powiedziawszy jest tylko nędzną dziurą w skale, w gęstych zaroślach ukryty, nie jest zdaje się nigdy próżnym. Gdy jeden pustelnik umrze, zjawia się natychmiast drugi, który się ubiera w habit, różaniec i kapelusz szeroki nieboszczyka.

Zkąd się zjawia nowy pustelnik? Niewiadomo.

Otóż droga moja, zaraz nazajutrz po pogrzebie tego, którego znałaś, widziano nowego pustelnika, przechadzającego się poważnie po lesie.

Nie był on z Coulanges, nie widział go nikt w Planche-Mibray, ale ludzie w Courson zdybali go, a p. de Maugeville, który poluje na lisy, utrzymuje, że go widział pod lasem. Gdyby tym nowym pustelnikiem był mój biedny stary galernik, nie dziwiłabym się wcale. Jeżeli to on, może żyć odtąd spokojnie, i żandarmerja nie będzie go szukać pod habitem i kapeluszem pielgrzyma.

Ale spytasz mię droga, jeżeli ten człowiek odszedł od ciebie, jeżeli straci na zawsze nadzieję, że uznasz go ojcem, czego się obawiasz? Doprawdy, jestem szaloną może, i moje obawy są nieuzasadnione, a jednak czegoś się boję...

Obawiam się tego człowieka, który może kiedy pjany wpaść tutaj. Boję się tego drugiego cygana, którego widziałam w Paryżu w wigilję mego odjazdu. Drżę na samą myśl o nim... Zdaje mi się, że prędzej czy później znajdą się, połączą i porozumieją. Wybacz mi najdroższa, ale mam do ciebie prośbę, ktorą, błagam cię, spełnij. Przyjedź tu do mnie.

Manuel przychodzi co dzień, ale Manuel nie jest jeszcze moim mężem, i nie będzie nim, aż po ukończeniu żałoby. Otóż wiesz dobrze, ludzie są złośliwi, a sąsiedzi z przyjemnością obmawiają tych, którzy z nimi nie żyją; a ja jestem sama...

Przyjeżdżaj, błagam cię. Twoja kochająca cię przyjaciółka: Marta de Planche-Mibray.

Baronowa właśnie skończyła ten list i oddała go służącemu, który miał go zanieść do Coulanges, gdy p. de Maugeville wszedł.

Był w ubraniu myśliwskiem, w wysokich butach i z szpicrutą w ręku.

Baronowa podała mu rękę.

— Dzień dobry kochany przyjacielu — rzekła.

Manuel pocałował ją w rękę i odpowiedział:

— Najdroższa moja Marto, czy przyjmiesz mnie dzisiaj na kolację?

— Dlaczego na kolację? — rzekła śmiejąc się.

— Bo powrócę dopiero o ósmej lub dziewiątej wieczór. Jestem zaproszony na wielkie polowanie na wilki, a będzie ono zdaje się interesujące. Strażnicy i dojeżdżacze utrzymują, że będziemy mieć ciężką przeprawę, i że wytropione zwierzęta odciągną nas o jakie kilka mil.

Baronowa spojrzała na Manuela z słodkim wyrzutem.

— Więc lubisz tak bardzo polowanie? — zapytała.

— O! nie tak znów bardzo — rzekł zarumieniwszy się trochę.

— Czy bardzo należy ci na tem?

— Wcale nie...

— Poświęciłbyś je dla mnie?

— Ach! — odrzekł — czy możesz mię oto pytać?...

Ale baronowa, która uległa tylko jakiemuś przeczuciu, dodała spiesznie:

— Ale co też ja plotę, jestem szalona!

— Dlaczego?

— Dopiero co zrobiłam sobie postanowienie, a już je łamię.

— Jakto?

— Czy nie umówiliśmy się wczoraj, że nie będziesz tak ciągle przebywał w zamku?

-- To prawda — odrzekł Manuel westchnąwszy.

— Aż dopokąd pani Villemur nie przyjedzie.

— Czy napisałaś do niej?

— Właśnie list wysłałam... I jestem szalona, moj przyjacielu, chcąc się pozbawić tej przyjemności. Szalona i egoistka.

— Przyjemność w zamian na szczęście — szepnął Manuel.

Uśmiechnęła się i podała mu znów piękną rączkę.

— Czyż nie będziemy wkrótce szczęśliwi? — odrzekła. — Nie, jedź na to polowanie. Zresztą, obiecałeś się...

— Tak.

— Nie trzeba więc, aby czekano daremnie na ciebie.

— To dziwne — myślał Manuel — ale nie mam wcale teraz ochoty do polowania.

I patrzył na panią de Planche-Mibray ze wzruszeniem, z którego nie mógł sobie zdać sprawy. Na szczęście ona tego nie spostrzegła.

Rozmawiali jeszcze chwil kilka, potem żegnając się, powiedziała mu:

— A więc do wieczora.

— Do wieczora — odrzekł.

Baronowa stanęła w oknie i patrzyła, jak wsiadał na konia. Pożegnał ją ręką, a ona żegnała go powiewając chustką.

Jadąc aleją, odwracał się ciągle, by nie stracić z oczu chustki powiewającej w powietrzu. Lecz wkrótce aleja skręciła się, drzewa zakryły zamek i chustka znikła.

Wtedy p. de Maugeville puścił konia galopem i skierował się na drogę de Frettoye. Ale to wzruszenie dziwne, które opanowało go w zamku, nie odstępowało go ciągle.

Kilka razy obracał się jeszcze, aby ujrzeć choć z daleka wierzyczki zamku de Planche-Mibray, które wznosiły po nad najwyższe drzewa w parku.

Gdy wjeżdżał w las, zatrzymał nawet swego konia, a wiedziony jakby jakiemś dziwnem przeczuciem, chciał już obrócić konia i wrócić napowrót.

W tej chwili żebraczka wyszła z lasu.

Żebraczka ta znaną była w całej okolicy. Uchodziła za wróżkę i nosiła śmieszny przydomek Brehaigne. Była to poczciwa wróżka, nie przepowiadająca nikomu nic złego i przynosząca szczęście, jak mówili wieśniacy. Dawano jej rozmaite zlecenia z jednego folwarku na drugi, wszędzie ją dobrze przyjmowano i nigdy próżno nie odeszła.

Manuel znał ją, bo przychodziła nieraz prosić o jałmużnę do zamku du Seuil lub do pałacu de Planche-Mibray. Żebraczka zbliżyła się do niego.

— Dzień dobry, panie Manuelu — rzekła.

— Dzień dobry, poczciwa Brehaigne — odrzekł, wyjmując pieniądz jakiś z kieszeni i dając go jej.

— Wstajesz pan widzę rano, panie Manuelu.

— Nie raniej od was, moja dobra kobieto.

— Tak, jeżeli pan wracasz tylko z zamku de Planche-Mibray. Ale jeżeli wracasz z du Seuil...

— Wracam z du Seuil.

— A więc wyjechałeś przed wschodem słońca.

— Naturalnie.

— I polujesz w Frettoye?

— Tak, kobiecino.

Stara spojrzała na niego dziwnie.

— Powiem panu coś, panie Maugeville — ozwała się.

— Cóż takiego?

— Wiesz pan zkąd powracam?

— Nie.

— Widziałam się z nowym pustelnikiem i mówiliśmy o panu.

— Doprawdy? — odrzekł pan de Maugeville obojętnie.

— Tak — ciągnęła dalej Brehaigne — i on to mię posłał...

— Cóż takiego? — zapytał p. de Maugeville zdziwiony.

— Posłał mię do pana — mówiła Brehaigne — bo jest on tak samo jak ja trochę czarownikiem.

— Tak! jest czarownikiem?

— Muszę mu wierzyć, bo mówił, że zpewnością spotkam pana na drodze w lesie, wracającego z Planche-Mibray.

— I cóż wam kazał powiedzieć? — zapytał Manuel, coraz bardziej zdziwiony.

— Mówił mi, abym panu dała dobrą radę — odpowiedziała Brehaigne.

— I cóż to za rada? — rzekł, wpatrując się uważnie w starą kobietę.

— Abyś pan powrócił do Planche-Mibray i zostawił polowanie. Niech polują bez pana.

— Ależ... dlaczego?... — szepnął Manuel, widocznie zmięszany temi słowami, które tak odpowiadały jego dziwnym przeczuciom.

— Nie powiedział mi tego — odrzekła Brehaigne.

— Ale ponieważ jesteście wróżką... musicie coś wiedzieć.

— Zaraz się dowiemy — odrzekła. — Pokaż pan rękę.

P. de Maugeville nie był zabobonnym i śmiał się nieraz z wróżbiarstwa starej kobiety, jednakże podając jej rękę, serce zabiło mu gwałtownie.

II.

— Jest tu wiele wypisanego szczęścia, panie Manuelu — mówiła Brehaigne.

— A! doprawdy! — rzekł młody człowiek odetchnąwszy.

— Najpierw, widzę pieniądze.

— Potem?

— A potem miłość.

— A potem jeszcze?

Brehaigne zmarszczyła brwi.

— To dziwne! — rzekła, jakgdyby mówiąc sama do siebie.

— Co takiego?

— Widzę tu dwie małe linje, jakgdyby dwie drogi się rozchodzące. Czy widzisz pan?

— Tak, widzę.

— I tak: jedna jest dobra, a druga zła.

— Nie rozumiem — odrzekł p. de Maugeville, którego znów jakiś niepokój ogarnął.

— Jest to tak — mówiła wróżka — jakgdybyś się pan znajdował na krańcu dwóch dróg.

— Mówiliście mi już.

— Jeżeli pójdziesz pan jedną, wszystko będzie dobrze; jeżeli zaś skierujesz się na drugą, spotka cię nieszczęście.

— Małe czy wielkie?

— Wielkie nieszczęście.

P. de Maugeville czuł, że pot wystąpił mu na czoło.

— Ale którą drogą masz pan pójść? Otóż to co nie wiem. Można być wróżką, a nie ogadnąć wszystkiego.

Potem dodała nagle:

— Ale ponieważ dwóch wróżbitów zawsze więcej znaczy, niż jeden, sądzę, że pustelnik miał swoje powody, radząc panu wrócić do Planche-Mibray, zamiast jechać dziś na polowanie.

— I wy mi radzicie to samo?

— Tak, z powodu tych dwóch linji, które widzę na ręce.

P. de Maugeville zawahał się. Chciał już nawet zawrócić konia i wrócić spokojnie do Planche-Mibray.

Wahanie to trwało z dziesięć sekund, i stara Brehaigne sama zaczęła się niepokoić, mówiąc:

— Zawsze lepiej proszę pana siedzieć spokojnie, niż gdzieś tam uganiać, i pewnie lepiej przy ciepłym kominku w Planche Mibray, niżeli w lesie.

— Macie słuszność — odezwał się Manuel.

I już zawracał konia, gdy nagle usłyszał trąbkę myśliwską. Zatrzymał się.

Jeździec ten, który trąbił tak radośnie na zebranie, był to wesoły sąsiad Manuela, prawdziwy szlachcic, chociaż był notarjuszem w małem miasteczku. Nazywano go p. Bompoint.

Miał on lat około trzydzieści ośm, i był myśliwym namiętnym, nie opuszczającym nigdy żadnej zabawy, wesół, hulaka, lubiący bardzo młode dziewczęta wiejskie, prawdziwy lumpus jednem słowem.

Chociaż w Burgundji i Nivernais szlachta jest bardzo dumna, jednakże niektórych mieszczan przypuszcza do swego towarzystwa i są dobrze widziani.

P. Bompoint, notarjusz, był bardzo miłym człowiekiem, o którego dobijała się cała szlachta i którego wszędzie zapraszano.

— Witam kolegę myśliwego! — zawołał wesoło zbliżając się do Manuela i zakładając trąbkę na ramię.

— Dzień dobry Bompoint — odrzekł p. de Maugeville.

— A! a co wy tam robicie? — zawołał notarjusz, spostrzegłszy Brehaigne, którą znał tak dobrze jak Manuel. — Czy może kazałeś sobie wróżyć panie de Maugeville? — I zaczął się śmiać.

— Właśnie — odpowiedział Manuel.

— No, a ja, co znam jej zwykły sposób mówienia, wiem naprzód, co ci mogła powiedzieć.

— Doprawdy? — zapytał Manuel.

— Powiedziała ci, że za dwa miesiące ożenisz się z ładną i młodą wdówką

— Cicho! — szepnął p. de Maugeville.

— Że będziesz miał wiele dzieci...

— Ależ cicho, mówię ci! — rzekł młody człowiek, śmiejąc się.

— Przepowiedziała ci jeszcze...

— Że może mię spotkać nieszczęście dzisiaj...

— Et, co znowu! — I twarz wesoła notarjusza wyrażała największe niedowiarstwo.

— Gdy pojadę na to polowanie — dokończył p. de Maugeville.

P. Bompoint wzruszył ramionami. Manuel powtórzył mu wróżbiarstwo Brehaigne. Gdy ten skończył, rzekł tonem żartobliwym:

— A więc powracasz do Planche-Mibray?

— Cobyś zrobił na mojem miejscu?

— Ja?...

— Tak, ty...

— Ja — odrzekł wesoły notarjusz — ja jestem wyznawcą Woltera, i nie mogę wierzyć w wróżby, wierząc już i tak z trudnością...

— Cicho! tylko bez bluźnierstw -- odrzekł Manuel, śmiejąc się. — Więc pojechałbyś na polowanie?...

— Dalibóg! Tak jest.

— W drogę więc! — zawołał Manuel, rzuciwszy luidora wróżce. Potem obaj puścili się galopem.

— Mamy jeszcze z dobrą milę do miejsca zebrania — mówił wesoły notarjusz, gdy jechali obok siebie, — a spóźniliśmy się trochę. Ojciec A... nasz kierownik polowania, jest człowiekiem akuratnym. Gotów rozpocząć bez nas. Trzeba go nauczyć cierpliwości.

I p. Bompoint, który miał piersi jakby ze spiżu, przyłożył trąbkę do ust i zatrąbił silnie.

Konie ich nie biegły już, nie galopowały, ale leciały pędem, przeskakując rowy i krzaki, podniecając jeden drugiego, jak dzik ścigany umyka przed psami.

Nie przeszkadzało to jednak panu Bompoint rozmawiać.

— Muszę ci powinszować sąsiedzie — mówił on —

cała okolica mówi o twojem blizkim małżeństwie.

— Doprawdy? — odezwał się p. Manuel wesoło.

— Ale bo też jednem słowem kobieta prześliczna i dwa czy trzy kroć franków dochodu.

Manuel westchnął i nic nie odpowiedział.

— A! — mówił dalej notarjusz — wiem co chcesz powiedzieć. Zakochani nie patrzą na pieniądze... no, ale ja widzisz jestem notarjuszem...

— A więc — odrzekł Manuel śmiejąc się — napiszesz nam kontrakt.

— Dobrze! — zawołał p. Bompoint, śmiejąc się jeszcze bardziej — wyjechałem na polowanie na wilki, a poluję klientów.

— To nic nie szkodzi, przy jednym ogniu upieczesz dwie pieczenie. — I Manuel puścił jeszcze więcej cugle koniowi.

Trąbki myśliwych słychać było już w lesie.

— Są na miejscu — rzekł notarjusz.

— I my będziemy za dziesięć minut — odrzekł Manuel, na którego wesoły humor notarjusza oddziałał szczęśliwie.

Miejsce zebrania wyznaczonem było na rozdrożu zwanym „Słup arcybiskupa."

Miejsce to przezwano tak od jednego arcybiskupa z Nevers, namiętnego myśliwego, który w dawnych czasach polował prawie co dzień w lasach Frettoye.

Ośm dróg prowadziło od tego słupa, który się wznosił w środku lasu.

Gdy Manuel i p. Bompoint przyjechali, wszyscy myśliwi byli już zebrani.

Hrabia d'A..., sędziwy starzec siedemdziesięcio letni, należał do ludzi starej daty i nigdy nie mógł się pogodzić z anglomanją. Nie cierpiał psów angielskich, koni angielskich i wszystko co było angielskie.

— Ach! panie sąsiedzie — zawołał, spostrzegłszy Manuela — spóźniłeś się mimo twego rumaka angielskiego.

I głaskał ręką chudą i kościstą swoją ulubioną klaczkę siwą.

— Baczność! panowie, baczność! — wołał, podczas gdy Manuel witał się z swymi towarzyszami.

Nadzorca zatrąbił, oznajmując początek polowania. Zwiedzał on las od piątej godziny rano i utrzymywał, że wilczyca z trzema młodemi i starym wilkiem, skryła się w jamie w gęstych krzakach, o jakie ćwierć mili od miejsca zebrania.

— Gdyby ich też wykurzyć; wilczyca niespokojna o swoje małe, wyszłaby z kniei.

— Zabijemy wilczycę jednym strzałem jak tylko wyjdzie z kniei — mówił p. d'A... — Psy zaduszą może wilczęta. Co do wilka, zabijemy go całkiem po prostu podług przepisów patrona polowania św. Huberta.

Przepisy kierownika dokładnie wykonano, a przewidywania jego ziściły się.

Za pierwszem wypuszczeniem psiarni, która składała się z trzydziestu wielkich psów, wilczyca wyszła. Kierownik, p. d'A... strzelił do niej o ośmdziesiąt kroków i padła na miejscu. Jednego młodego wilka zabito w ten sam sposób. Dwa inne uduszono.

Ale stary wilk nie wyszedł zaraz. Nie ufając swym siłom, zaczął się bawić w wybiegi jak zając, umykając z krzaków do krzaków, zmieniając drogi, kręcąc się, przycupując, aż nareszcie puścił się w prawo, w kierunku Courson, i prawdziwe polowanie rozpoczęło się.

Trwało ono pięć do sześć godzin, i była już prawie noc, jak biedny, znękany zwierz padł, poddając się psom.

Wtedy p. d'A... zlazł z konia, i wśród oklasków wszystkich myśliwych, założył łańcuch wilkowi, uprowadzając go żywego.

. . . .

— No a cóż, kochany sąsiedzie — mówił wesoły notarjusz, który zatrąbił głośno na koniec polowania — czy przytrafiło ci się najmniejsze nieszczęście dotychczas?

Pożegnali się obaj z innymi myśliwymi i wracali teraz napowrót lasem prosto ku Coulanges.

Manuel miał przywiązane do konia skóry z trzech młodych wilków, które wszyscy jednozgodnie ofiarowali pani de Planche-Mibray na dywan.

— Tak, dotychczas nic mi się złego nie stało — odrzekł.

W chwili, gdy to odpowiedział, głos jakiś usłyszał w krzaku niedaleko.

„Czekaj pan do nocy, a dopiero obaczysz" — wołał ten głos.

Notarjusz i p. de Maugeville stanęli zdumieni.

— Kto tam? — zawołał pan Bompoint. skierowawszy konia ku krzakom.

Nikt nie odpowiadał.

Manuel pojechał za nim. Przetrzęśli krzaki, objechali do koła, ale nikogo nie obaczyli.

— Doprawdy możnaby w duchy uwierzyć — rzekł Manuel.

— W duchy nie, ale w kłusowników, którzy są szczęśliwi, mogąc zmistyfikować strzelców — odpowiedział notarjusz.

I pojechali dalej. Ale nie ujechali dwadzieścia kroków, gdy głos ten sam znów usłyszeli. Tym razem mówił:

— Panie Manuelu, zamiast jechać drogą do Coulanges i do zamku de Planche-Mibray, zwróć się pan na prawo i wracaj do siebie... Usłuchaj dobrej rady!

— A tego już zanadto! — szepnęli obaj jeźdźcy, zatrzymując się znowu. W tej chwili znajdowali się w wielkim lesie i nie mogli zmiarkować, zkąd głos pochodził.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.